



KYLIE LEE BAKER

SZKARŁATNA ALCHEMICZKA

TOM 1



KYLIE LEE BAKER

SZKARŁATNA
ALCHEMICZKA

TOM 1

Tłumaczenie
Kinga Rzepka

Tytuł oryginału: *The Scarlet Alchemist*

Copyright © Kylie Lee Baker 2023

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Nowe Strony, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redaktorka prowadząca: Sandra Pętecka

Redakcja: Marta Grandke

Korekta: Anna Łakuta, Martyna Góralewska, Aga Dubicka

Skład i łamanie: Michał Śwędrowski

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-826-4 · Wydawnictwo Nowe Strony · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
@ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
f Wydawnictwo Nowe Strony
📷 [wydawnictwonowestrony](https://www.instagram.com/wydawnictwonowestrony)
🎵 [nowe_strony](https://www.tiktok.com/@nowe_strony)

Dla Ruby
Ta opowieść jest dla Ciebie

PRZEDMOWA

W czasach dynastii Tang chińscy alchemicy próbowali stworzyć eliksir nieśmiertelności. Ta historia opowiada o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby im się to udało. Ponieważ jest to alternatywna historia, która ukazuje Chiny takimi, jakimi mogły się stać sto lat po tym odkryciu, wiele szczegółów historycznych zostało świadomie zmienionych. W związku z tym nie należy traktować tej książki jako autorytatywnego źródła informacji o historii i kulturze Chin.

W szczególności należy zauważyć, że chociaż alchemia w tej książce została luźno oparta na zasadach i celach chińskiej alchemii taoistycznej z VIII wieku, jej opis jest całkowicie fikcyjny i nie odzwierciedla historycznych ani współczesnych praktyk taoistycznych. Ta książka zawiera również współczesne słowa zaczerpnięte z języka mandaryńskiego i kantońskiego, które znacznie różnią się od słów języka średniochińskiego, który był używany w czasach dynastii Tang. Autorka tej książki podjęła tę decyzję, chcąc stworzyć tekst łatwy do czytania i zrozumienia dla współczesnych użytkowników języka chińskiego (jak również biorąc pod uwagę niechęć do nauki martwego języka na potrzeby powieści fantasy).



PROLOG

Pamiętam dzień zaciemnienia, nawet jeśli nikt inny go nie pamięta.

Kiedy zamykam oczy, stoję w mieście, w którym według ciotki nigdy nie byłam, z rodzicami, których już nie ma.

Miasto Chang'an jest jak całe życie skondensowane w jednej chwili, wypełnione po brzegi słowami tysiąca języków, z polnymi szlakami wydeptanymi przez przodków, którego mieszkańcy przywdziewają jedwabne ubrania lśniące niczym łuski ryb. Na odległym krańcu drogi znajduje się wielka kamienna brama z pięciorgiem drzwi otwierających się prosto w ciemność.

Nie wiem, co jest za bramą, ale zbliżam się, oddalając się tym samym od rodziców, mijając kupców z bukłakami, z których wylewa się wino, pielgrzymów w szatach w kolorze pyłu, tancerki w klejnotach, które skupiają promienie słońca i rzucają je na mnie jak sztylety.

Coś znajduje się za bramą. Jestem tego pewna. Pięć łukowatych przejść jest jak krzyczące usta, które mnie nawołują.

Gong odbija się echem, świat odwraca się i znika, a drzwi zatraskują mi się przed nosem. Sięgam w stronę matki, a moje palce pstrykają w różnych kierunkach, wydając z siebie tysiące małych trzasków, niczym fajerwerki. Spadam przez świat, który obrócił się w pył, upadając na nocne niebo. Wszechświat rozpościera moją skórę i rozciąga mnie przez swą bezkresną ciemność jak błady namiot ponad wszystkimi gwiazdami. Jestem nocą, która zrodziła świat. Jestem kośćmi wszystkich planet. Jestem ciszą. Jestem końcem.

Słyszę głos ojca mówiący do mnie w języku, który dawno zapomniałam. Słowa wznoszą się i opadają jak powolne podmuchy wiatru rozlewające się po dolinie, drżące wśród traw. W jakiś sposób wiem, że są one bardzo ważne, ale jestem zrobiona z jedwabiu, a słowa przeze mnie przepływają. Jedynym, które rozumiem, jest moje imię. *Zilan. Zilan. Zilan.*

Budzę się w łóżku w Guangzhou w objęciach matki. Rodzice mówią, że to był sen, ale ja wiem swoje.

Wiem, bo zmienił się sposób, w jaki na mnie patrzą. Obserwują mnie, gdy myślą, że nie zwracam na nich uwagi, a ich spojrzenia pełzną wzdłuż mojego kręgosłupa. Na coś czekają.

Co zrobiłam? Zastanawiam się nad tym tysiąc razy, ale nikt mi tego nie powie.

Potem moja matka umiera, a mój ojciec znika i nie ma już nikogo, kogo mogę zapytać.

Jestem jedyną osobą, która pamięta.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Rok 775
Guangzhou, Chiny*

W samo południe pierwszego dnia letniego przesilenia starzec Gou wtargnął do sklepu ze zjełczałą torbą konopną na ramieniu. Nawet gdybym zignorowała podejrzenie ludzkie wybrzuszenie w środku, brązową maź ściekającą na podłogę czy fioletowe opuszki palców zwisające z niezwiązanego końca torby, wszędzie poznałabym ten zapach.

Zamknęłam książkę i odstawiłam herbatę, która teraz miała kwaśny posmak. Zapach rozgrzanych zwłok dźgał mnie w nos i sprawiał, że ślina zbierała się w gardle, jakbym miała zwymiotować. Lubiłam myśleć, że jestem dobra w oddychaniu przez usta i połykaniu wymiocin jak profesjonalistka, ale zazwyczaj natrafiałam na zwłoki tylko wtedy, gdy się tego spodziewałam.

– Nie możesz tu tego wnieść – powiedziałam i upiłam szybki łyk herbaty, by stłumić wszystko to, co chciało opuścić moje usta poza słowami.

Starzec Gou parł naprzód, jakby mnie nie słyszał, zawieszając torbę wyżej na ramieniu.

– Musisz...

– Wiem, czego potrzebujesz – odparłam. – To tak nie działa. Umawiasz się na spotkanie i wchodzisz od zaplecza po zmroku.

Zjeżył się, gdy mu przerwano, ale mnie to nie obchodziło. Ludzie z silną kartą przetargową nie przychodzili do mnie, prosząc o pomoc. Spojrzenie starca błędziło po półkach wypełnionych ceramicznymi konikami i maleńkimi, kłękającymi służącymi oraz tysiącem szkliwionych, glinianych oczu będących świadkami jego grzechów.

Moja rodzina posiadała sklep z míngqì na dalekim, zachodnim krańcu Guangzhou. Wujek Fan i Ciotunia So formowali z gliny naczynia dla duchów, które chowano razem ze zmarłymi, a ja i moi kuzyni sprzedawaliśmy je rodzinom pogrążonym w żałobie. Nikt nie mógł zabrać ze sobą prawdziwych ludzi w zaświaty, ale zmarli mogli wziąć nasze malowane, ceramiczne rumaki, piękne kobiety ze szkliwionej gliny oraz wiernych służących wielkości dłoni. Upychali tyle figurek w swoich grobowcach, ile tylko się dało, mając nadzieję, że zimna glina zmieni się w ciepłe ciało, gdy ich dusze przejdą na drugą stronę, i że nie będą sami po śmierci.

Kiedy byłam młodsza, zapytałam Wujka Fana, czy cokolwiek z tego było prawdą. Zadrwił, mówiąc: „Nie ma znaczenia, czy to prawda, zmarli nie mogą prosić o zwrot pieniędzy”, i zatrzaskał drzwi pieca do wypalania gliny.

Jednak zmarli mogli zrobić o wiele więcej, niż myślał.

To była nasza działalność tylko za dnia. Wujek Fan i Ciotunia So żyli w błogiej nieświadomości, nie wiedząc, skąd pochodzi druga połowa naszych pieniędzy.

– Więc zabierz mnie na tyły – powiedział starzec Gou, jakby to było takie proste.

Pokręciłam głową, modląc się, żeby nikt nie widział, jak w biały dzień ciągnął gnijące zwłoki do naszego sklepu. Powieszenie za zakazaną alchemię życia z pewnością kolidowałoby z moimi nadchodzącymi planami podróży.

– Pilnuję teraz sklepu. Dlatego właśnie należy się umawiać.

Zmrużył oczy, a jego tęczęwki błysnęły złocisto – efekt uboczny spożycia zbyt wielu samorodków złota. W obecnych czasach w diecie bogatych nie króluje już mięso z niedźwiedzia gotowane na parze czy ananasy, ale ręcznie robione kawałki złota z perłami jako dekoracją wciąż parujące po alchemicznej transformacji. Niektórzy mówili, że spożywali je łyżkami zamiast pałeczek, ponieważ nie mieli cierpliwości, aby jeść kawałek po kawałku.

Sto lat temu królewscy alchemicy poznali sekretną recepturę na tworzenie złota, które zatrzymywało proces starzenia się i sprawiało, że krew miała kolor słońca. Póki będziesz je spożywać nieskończenie długo, twój uśmiech nigdy nie wyżłobi blizn na policzkach, kości nigdy nie staną się kruche i nie będą trzeszczeć podczas ulewy, skóra nigdy nie zwiotczeje, nie pojawi się na niej ani plamka, ani zmarszczka.

Ale nawet wiecznie młode ciała nadal były zrobione z miękkiego, ludzkiego mięsa, a ani złoto, ani klejnoty nie chroniły bogatych przed chorobami, wypadkami czy czymkolwiek, co, do jasnej cholery, stało się z rozkładającym się ciałem, które przywłókł tutaj starzec Gou. Ci, których było stać na złoto nieśmiertelnych, często pozostawiali zamknięci w swoich posiadłościach, aby chronić swoją inwestycję, ale najwyraźniej rodzina Gou nie czuła takiej potrzeby. Nikt tak naprawdę nie wierzył w śmierć, dopóki jemu się to nie przytrafiło.

– Było tylko małe okienko czasowe, w którym mogłem niepostrzeżenie usunąć jego ciało – rzekł starzec Gou, zniżając głos,

jakby każdy, kto niefortunnie przechodził obok, faktycznie mógł przetworzyć jego słowa, zanim straci przytomność ze smrodu.

– Mogłabym się zadowolić tym wytłumaczeniem, gdybyś przyszedł tutaj wczoraj i UMÓWIŁ SIĘ NA SPOTKANIE.

– Czy ten sklep z bibelotami jest ważniejszy od mojego brata? – obruszył się starzec Gou, mocniej ściskając torbę.

Ważny dla mnie czy dla ciebie?

Chciałam go o to zapytać, ale dobrze wiedziałam, że lepiej nie mówić tego mężczyźnie, nawet temu łamiącemu prawo, który raczej nie zaryzykuje wszczęcia awantury. Pod ladą znajdował się sztylet, a ja wyciągnęłam go bez skrupułów, jeśli mężczyzna za bardzo by się wzburzył, ale plamy krwi były irytujące i trudne do wyjaśnienia Ciotuni So.

Jednym z problemów w branży pogrzebowej było to, że wszyscy przychodzili do ciebie z bólem tak wielkim, że byli przekonani, iż nikt inny nie mógł go wcześniej poczuć. Nie podobało im się, że mam zasady, że pobieram opłaty za mój czas, że ich łyzy mnie nie wzruszają.

„Śmierć jest smutna, lecz to bez znaczenia. To jest biznes”, tak zawsze powtarzał wujek Fan, gdy klienci płakali. *„Jeśli sprawisz, że biznes biedaka stanie się organizacją charytatywną, w ciągu tygodnia będzie miał dwa razy więcej żebraków i nie zostanie mu nic do zaoferowania”.*

Poza tym starzec Gou nie potrzebował mojej dobroczynności, a jeśli chciał, żeby ktoś opłakiwał jego brata, mógł kupić kilku żałobników na ulicy. Jego torba była wypchana monetami, a purpurowe, jedwabne szaty migotały złotym haftem. Jego dłonie nie miały odcisków, żadnego brudu pod paznokciami tak jak u farmerów lub rzemieślników. Najwyraźniej nie dopadły go ciężkie czasy.

Musiał wyczytać stanowczość z mojej twarzy i postanowił zmienić taktykę, ponieważ w końcu, z ciężkim westchnieniem, położył torbę na podłodze. Modliłam się, żeby żadna bagnista ciecz przelewająca się w środku nie poplamiała posadzki.

– Z pewnością w dzisiejszych czasach nie masz zbyt wielu klientów – rzucił, podchodząc do półki i podnosząc figurkę ceramicznego wołu.

Otworzyłam usta, by zażądać, żeby ją odłożył, ale on odechnął i chmura kurzu wzbiła się w powietrze, a miękki proszek wirował wokół okropnie zadowolonej miny malującej się na jego twarzy.

– Mamy ich wystarczająco – powiedziałam, chwytając za krawędź lady.

Ludzie, których nie było stać na życiodajne złoto, oczywiście nadal planowali pogrzeby, ale kiedy ich ojcowie odeszli, nie było już arystokratów opróżniających nasze półki. Większość klientów kupowała jeden lub dwa míngqì, płacząc przy ladzie i błagając o niższą cenę. Godziliśmy się na to nie dlatego, że byliśmy dobrymi ludźmi, ale dlatego, że kilka monet było lepszych niż żadna.

Starzec Gou uniósł brew i stwierdził:

– Lepiej by się wam wiodło, gdybyście robili nocniki.

Nie odpowiedziałam, bo tak naprawdę powiedziałam to samo Ciotuni So, na co ona odrzekła: „Ludzie mogą srać do dziury w ziemi, nie do mojej sztuki”.

Pokręciłam głową.

– Zamykanie sklepu o różnych porach jest niekorzystne dla biznesu.

– Zilan *síuzé* – powiedział, posyłając mi sztywny uśmiech. – Proszę, mój brat ma dwie małe córki.

Musiałam się bardzo wysilić, żeby nie przewrócić oczami, słysząc, jak słodko wymawia moje imię. Gdy byłam młodsza, śmiał się, kiedy jego syn nazywał mnie gwáimūi – *dziewczyna-duch* – i nie skarcił go, gdy wyrwał wszystkie fioletowe orchidee, które rosły na skraju miasta, przeżuł je i wypluł u mych stóp. Nie mogłam nawet być na niego zła, bo też miałam ochotę przeżuć swoje imię i wypluć je w postaci fioletowej papki.

Zǐlán – napisane ze znakami oznaczającymi fioletową orchideę – nie było imieniem nadawanym dziewczynce, która pewnego dnia stanie się kimś ważnym. Zostałam na to mimowolnie skazana, ponieważ ojciec był cudzoziemcem, a matka – z jakiegoś dziwnego powodu – pozwoliła mu nadać to imię, mimo że ledwo mówił po chińsku. Może mieszkankom Nowej Szkocji nie przeszkadzało noszenie imion inspirowanych nazwami kwiatów, ale w Guangzhou imiona były dla nas nadzieją i marzeniem naszych rodziców, a nie tylko pięknymi rzeczami, które widzieli na ziemi.

Imię mojego kuzyna Wénshū miało w sobie znak oznaczający książkę, ponieważ jeszcze zanim dowiedział swojej irytującej umiejętności czytania, był przeznaczony do bycia uczonym. Moja kuzynka Yǔfēi nosiła imię, w którym specjalne znaki oznaczały spowity mgłą śnieg i deszcz, ukryte oblicze pięknej bogini. Ale zǐlán był kwiatem tak pospolitym, że nie można go było nawet sprzedać, i tak kruchym, że kilka dni deszczu mogłoby go rozetrwać na strzępy. Przez sekundę był ładny, a za chwilę martwy.

Sklep naprawdę zaczynał teraz śmierdzieć i gdybym liczyła dziś na jakichś klientów, z pewnością by nie przyszli, gdyby starzec Gou stał tam dłużej z ciekącymi zwłokami swojego brata. Najlepiej było po prostu szybko się z nim uporać.

Westchnęłam i rozkazałam:

– Zarygluj drzwi.

Starzec Gou odwrócił się i zasunął drewniany rygiel za sobą. Odchrząknął, wchodząc w głąb pomieszczenia.

– Chcę...

– Najpierw się rozliczymy – powiedziałam, stukając w ladę.

Zamarł, jakby go spoliczkowano.

– Nawet na niego jeszcze nie spojrzałaś.

– Konsultacja kosztuje pięćdziesiąt sztuk złota.

Skrzywił się, ale posłusznie opróżnił torbę na ladę. Złote monety wirowały po wypolerowanym drewnie. Był to rozcieńczony

rodzaj złota używany jako waluta, a nie bryłki zjadane dla zyskania nieśmiertelności. Mogłam to stwierdzić po samym zmatowieniu monet.

Sięgnęłam po jedną z nich i przyłożyłam do okna, przyglądając się jej blaskowi, a następnie wrzuciłam ją do filiżanki herbaty. Prawdziwe złoto zawsze opadało na dno, ale złoto głupców – tanio przetworzony gatunek, który w ciągu następnej godziny zamieniłby się z powrotem w węgiel – unosiłoby się na wodzie.

– Mojego brata bolało serce – zaczął starzec Gou, gdy moneta opadła na dno mojej filiżanki.

Podniosłam kolejny kawałek i włożyłam go do ust, delikatnie gryząc. Prawdziwe złoto było miękkie i plastyczne. Gdy ten kawałek wyszedł z moich ust ze śladem zębów trzonowych, zaczęłam liczyć, zadowolona, że są prawdziwe.

– Cynober i grzyby nie pomogły – kontynuował starzec Gou.

– Nie jestem uzdrowicielką – powiedziałam, bo jego głos odwracał moją uwagę od liczenia. – Jego diagnoza nie ma dla mnie znaczenia, dopóki jest w jednym kawałku.

Górna warga starca Gou drgnęła, gdy ułożyłam złoto w schludnych rzędach. Prawdopodobnie nie był przyzwyczajony do tak swobodnej rozmowy. Za worki ze złotem można było kupić wiele rzeczy, lecz mój szacunek nie był jedną z nich.

– Czterdzieści siedem – oznajmiłam w końcu, wyciągając dłoń po więcej.

Starzec Gou machnął na mnie ręką, jakby to nie miało znaczenia.

– Z pewnością to wystarczy za konsultację.

Uniosłam brew.

– Chcesz konsultacji wartej czterdzieści siedem sztuk złota?

– BŁAGAM – wycodził przez zaciśnięte zęby.

– Jak sobie życzysz – powiedziałam, pochylając się nad ladą. Zmrużyłam oczy i spojrzałam na poplamioną szarym płynem tkaninę konopną worka. Wzięłam głęboki wdech, a zapach śmierci sprawił, że łzy napłynęły mi do oczu.

– Nie – zdecydowałam, zsuwając jego złoto z blatu do mojej glinianej miski. – Dziękuję za współpracę.

– NIE? – powtórzył starzec Gou, czerwieniąc się na twarzy. – Jak można to nazwać konsultacją?

– Smród – podsumowałam, biorąc długi łyk mojej herbaty, która teraz miała metaliczny posmak krwi. – Zbyt długo zwlekałeś z przyjściem do mnie. Nie ożywię trupa z larwami zamiast oczu i nie puszczę go w świat.

– On ma oczy! – oburzył się mężczyzna, a jego głos wstrząsnął rzędem ceramicznych śpiewaków obok niego. – Nawet na niego nie spojrzałaś!

Wzięłam kolejny łyk herbaty.

– Widzenie kosztuje dziesięć sztuk złota więcej niż to, co mi zapłaciłeś.

– TRZY więcej! Powiedziałaś pięćdziesiąt!

– To było, zanim spróbowałeś mnie oszukać – odparłam. – Teraz jest już dziesięć więcej.

Starzec Gou westchnął i sięgnął do innej torby, kręcąc głową i odliczając dziesięć monet, po czym cisnął je na blat. Dorzuciłam je do miski, zanurkowałam pod ladę i wyskoczyłam z głównej części sklepu.

Rozchyliłam konopny wór, odsłaniając sztywne i nabrzmiąłe ciało w kolorze zimnej owsianki, z sinymi paznokciami i ustami. Z nosa zmarłego sączyła się czarna jak smoła substancja, która spływała mu po policzkach i zbierała się w kącikach ust. Dotknęłam jego ramienia i gdy poruszyłam palcami, poczułam, jak skóra przesuwana się w przód i w tył, niczym kawałek luźnego ubrania. Starzec Gou omal nie zwymiotował od jego odoru.

– Zaczął już gnić – oświadczyłam. – Jego skóra może w każdej chwili zacząć schodzić. Nie mogę mu pomóc.

– Ale możesz go sprowadzić z powrotem?

Spojrzałam w górę, marszcząc brwi.

– Słyszałeś, co powiedziałam? Chcesz mieć brata, który nie ma skóry?

– Przyszyjemy ją – odrzekł, machając ręką, jakby to była drobna niedogodność. – Wszystko jest lepsze od śmierci, prawda?

Zmrużyłam oczy.

– W twoim mniemaniu. Nie będzie mógł wyjść na zewnątrz. Jego wygląd zatrwoży ludzi.

– Nasz dom jest na tyle duży, że nie będzie się nudził – podsumował. – Dasz radę czy nie?

Gdybym mogła sobie pozwolić na posiadanie sumienia, powiedziałabym „nie”.

Jednak wkrótce razem z kuzynami mieliśmy zdawać egzaminy do służby cywilnej i gdyby wszystko poszło dobrze, przeprowadzilibyśmy się do stolicy na drugą i trzecią rundę testów, zostawiając połowę naszych oszczędności Wujkowi Fanowi i Ciotuni So. Wyobraziłam sobie, jak siedzą w ciemności i otwierają ostatnie worki ryżu, wsypując je do wodnistej zupy.

– Sześćset – oznajmiłam.

– Słyszałem, że w zeszłym tygodniu brałaś pięćset – zakpił starzec Gou.

– W zeszłym tygodniu złoto było więcej warte.

– Jak śmiesz...

– Jeśli ci się nie podoba, znajdź kogoś innego.

Nie było nikogo innego i doskonale o tym wiedział. Łatwo było znaleźć alchemików, którzy potrafili naprawiać zepsute zabawki lub opatrywać obdarte ze skóry kolana, ale eksperymentowanie z alchemią życia – lub namawianie do jej praktykowania – było karane śmiercią.

Mężczyzna spojrział na mnie, prawdopodobnie niepewny, czy naprawdę odpuszczę pięćset sztuk złota. Ja jednak widziałam śmierć i rozkład, rzeczy znacznie bardziej przerażające niż rozgniewany starzec, rzeczy, których Gou nigdy nie mógł sobie wyobrazić w swoim niekończącym się życiu w złotej klatce.

W końcu skinął głową.

– Możesz zostawić ciało w chlewiku – powiedziałam. – Wróć po zmroku z pieniędzmi.

Jego oczy zwężyły się, a złote plamki wokół źrenic były ostre jak brzytwa.

– Nie zostawię brata w chlewie.

– Aha, w takim razie wyszukujmy go na powitanie klientów – oznajmiłam, przewracając oczami i wstając, by znów ruszyć za ladę. – To nie ja przywlekłam tu zwłoki w samo południe i nie mam ich teraz gdzie położyć.

– Nie pomożesz mi TERAZ?

– Moi kuzyni są zajęci, a potrzebuję ich pomocy – wyjaśniłam. – Poza tym jeszcze mi nie zapłaciłeś.

– Co jest nie tak z waszą rodziną i pieniędzmi? – zapytał. – Nie macie litości?

– Żadnej – odparłam, biorąc kolejny łyk herbaty.

Byłam przyzwyczajona do tego, że ludzie utyskiwali na moje ceny.

– Dlatego twoja rodzina ma takiego pecha, wiesz? – skomentował, raz jeszcze zarzucając worek na ramię. – Wszyscy macie złą karmę.

Starłam się nie zmieniać wyrazu twarzy, żeby nie pokazywać mu, że jego słowa mnie dotknęły. Prawdopodobnie mówił o moich rodzicach. Guangzhou był wtedy mniejszy i wszyscy słyszeli o dziewczynie na tyle głupiej, że wyszła za cudzoziemca, który zostawił ją na łożu śmierci. A może miał na myśli Ciotunię i Wujka, których zły stan zdrowia nie był tajemnicą.

Jednak ten pech nie miał niczego wspólnego z naszymi cenami, a wszystko miało związek z pożeraczami złota, takimi jak starzec Gou.

– Buddyjska moralność nie obowiązuje alchemika – powiedziałam, opróżniając filiżankę i odkładając ją głośno na

blat. – A bogowie cię za to opuszczą. Jeśli chcesz odzyskać brata, to teraz ja jestem twoim nowym bogiem.

Starzec Gou prychnął i kręcąc głową, powiedział:

– Wyobraź sobie kogoś takiego jak ja modlącego się na kolanach do kogoś takiego jak ty.

To mogło oznaczać tysiąc różnych rzeczy, ale ostatecznie nie miało znaczenia. Chiny od dawna dzieliła wielka przepaść, z rodziną Gou po jednej stronie i moją po drugiej.

– Nie chcę twoich modłów – odpowiedziałam. – Chcę tylko twoich pieniędzy.